TEATR WYBRZEŻE

Witold Gombrowicz

IWONA, KSIĘŻNICZKA BURGUNDA

PIERWSZA PREMIERA 1977 ROKU
dnia 12 lutego
w Teatrze na Targu Węglowym
w Gdańsku

Dyrektor:
ANTONI BILICZAK

Kierownik artystyczny:
STANISŁAW HEBANOWSKI

Redaktor programu:
WIESŁAW NOWICKI

Opracowanie graficzne:
ANNA MAKILLA

Witold Gombrowicz *mal. Kanarek 1936 r.*

Jestem humorysta, pajac, linoskoczek, prowokator, moje utwory na głowie stają, żeby się spodobać, jestem cyrk, liryzm, poezja, groza, walka, zabawa — czegóż pan chce więcej? Jestem trudny, to prawda, tam gdzie nie można inaczej, ale jeśli kto pisze w śmiertelnym strachu, że znudzi, to ja! Zdumiewają mnie owe sesje, na których literaci odczytują na głos swoje płody. Ja bym nie był w stanie przeczytać jednej strony mego maszynopisu, tak się boję ziewania! Dziś, w biurokratycznej atmosferze, aforyzm francuski *tous les genres sont bons, sauf les genres ennuyeux*, przestał straszyć. Szkoda!

Ba, lepiej siedziałbym cicho! Po cóż z nimi wojuję? Jestem z nimi blisko spokrewniony, wśród nich znajduję najlepszych przyjaciół i odbiorców... i, na pewno

to mi zaszkodzi, w Paryżu przede wszystkim, wszak opanowali krytykę paryską... i tak przyjemnie byłoby powiedzieć sobie, no cóż, wielkie rzeczy, jest miejsce dla każdego, rozmaitość jest pożądana i w ogóle „czyń każdy w swoim kółku, co każe duch boży, a całość sama się złoży"... takie ewangeliczne maksymy są jednak dobre na trawienie, co?

Ale. W Kawiarni Rex, do której chodziłem na szachy, w Buenos Aires, widywałem pewnego młodego Brazylijczyka, bardzo chudego, chorobliwie nieśmiałego, który mówił tak cicho, że nikt dobrze nie wiedział, co mówi. Przez delikatność odpowiadano mu byle co i tak jakoś toczył się ten dialog. Przystąpiłem do niego i powiedziałem: — Czy pan wie, że z nikim nigdy pan w życiu swoim nie rozmawiał? Że wszyscy pana nabierają? Zdziwił się... i zamamrotał coś, czego nie dosłyszałem.

Otóż artysta, wie pan, jest istotą systematycznie okłamywaną od pierwszego słowa, jakie napisał. Nawet ja nie zdobyłem się na okrucieństwo, żeby powiedzieć osobie, która wręczyła mi utwór krwawym potem długotrwałego wysiłku oblany i zawierający najdroższe nadzieje, że nie przeczytałem, nie mogłem przeczytać. Więc zawsze coś w rodzaju „tak, miejscami niezwykle ciekawe, pod pewnymi względami nawet może do pewnego stopnia bardzo... choć może"... itd. Cóż robić? Człowiek wie, że kłamie, i wie, że inni też skłamią, i że ten biedak życie zmarnuje karmiąc się kłamstewkami, które z biegiem czasu coraz bardziej będą go spowijać, i że one doprowadzą go w końcu do jakiejś pozornej realizacji w świecie artystycznym, która znów nowe wywoła kłamstwa etc. etc. etc.

Nawet najlepsi z nas bez przerwy są okłamywani. Kłamstwo nieprzerwanie nas drąży. Krytyk, przyjaciel, obcy, wydawca, znawca, wielbiciel... kłamią, kłamią, kłamią... Odkłamać choćby odrobinę, taki jest dziś najwyższy postulat sztuki.

Witold Gombrowicz

Posłuchajcie mojej opowieści. Dla mnie arystokracja to było jedno z tych niedojrzałych zaburzeń, potwornych, urzeczeń, nie wiedzieć — zrodzonych ze mnie, czy też mnie narzuconych, z którymi zmagałem się w literaturze, bardziej jeszcze w życiu. I, jak zawsze bywa z taką niedojrzałą mitologią, wydaje się ona niesłychanie łatwa do przezwyciężenia — a dopiero głębsze w nią wejrzenie i ściślejszy rachunek sumienia ukazuje całą jej drapieżną niezniszczalność. Co do mnie — czyż nie mogłem po prostu wzgardzić snobizmem i obrócić go w niwecz, ubierając siebie w te gotowe frazesy, które czekają na nas w takich wypadkach: „Nie, mnie to nie imponuje, dla mnie nie tytuł ma znaczenie, lecz wartość człowieka, nie, któżby wierzył w te śmieszne przesądy!" I mówiąc tak nie skłamałbym o tyle, iż rzeczywiście byłoby to zgod-

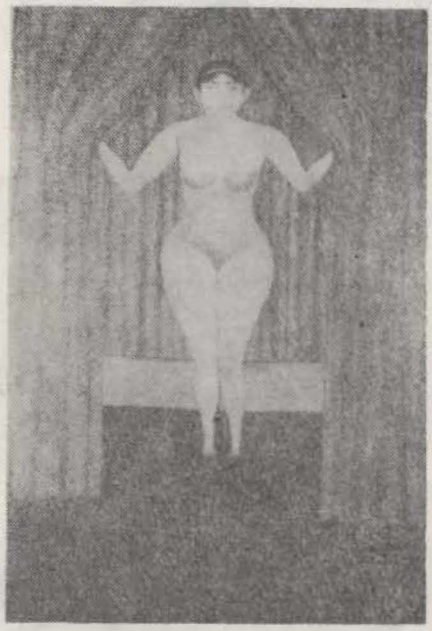

ne z moim rozumem, raczej postępowym i wypranym z owej przedwiecznej głupoty. Ale, będąc prawdą, byłoby nią tylko do pewnego stopnia i takie postawienie sprawy nie jest według mnie dość inteligentne, owszem, świadczy o powierzchownym ujęciu — gdyż moc wszelkiej mitologii niedojrzałej na tym się zasadza, że ona daje się nam we znaki choć jej nie uznajemy i doskonale wiemy, że jest bzdurna. Wystarczy aby do dojrzalca, który proklamuje swoje wyzwolenie z przesądów, zbliżył się książę z krwi i kości, a w nim cała jego „równość" stanie się pracowita, wysilona, ha, będzie musiał dobrze mieć się na baczności aby nie stoczyć się w nierówność! Jeśli więc musisz bronić się przed tym, to dowód, że jednak istneje to coś! Sprawy nie zawsze układają się tak gładko, jakby tego pragnęła demokratyczna poczciwość.

I nie trudno pojąć, dlaczego muszą liczyć się z tymi hierarchiami nawet ci — nowocześni. Czyż nie dlatego, że choć tobie markiz nie imponuje, imponuje jednak innym — ty zaś musisz liczyć się z innymi. Nie przyjdzie ci łatwo potraktować za pan brat kogoś przed kim inni schylają głowy — daremnie będziesz wymyślał im po cichu od głupców — i tak to niedojrzałość znajduje zawsze swoich ludzi i nimi się trzyma. Ale można by także powiedzieć, że nie uznając wartości osobistej arystokraty, nie jesteśmy jednak nieczuli na fakt, że on jest produktem wielowiekowego luksusu (do którego wszyscy wzdychamy), że jest uosobieniem bogactwa, wolności, tworem środowiska które, słusznie czy niesłusznie, wydobyło się z nędzy

życia. Arystokracja rodowa nie wyróżnia się zaletami. To ludzie nieraz źle wychowani. To niezbyt światłe umysły i jakże często rozmiękczone i niesmaczne charaktery. To bardzo kiepska estetyka i *charme* dość wątpliwy. Ich służba jest na ogół o wiele lepsza od nich, nawet pod względem manier. Ale wady arystokracji wynikają z jej trybu życia, są świadectwem jej stopy życiowej i to tę stopę delikatną uwielbiamy wbrew moralnej i estetycznej naturze zjawiska. Można też dodać, że arystokracja pociąga i zachwyca jak wszystkie światy hermetyczne, ekskluzywne, które mają swój sekret — wabi ona tą samą tajemnicą, która migotała i lśniła Proustowi tyleż w grupie *jeunes filles en fleur* co w salonie pani de Guermantes.

A zatem takie sumaryczne załatwienie się ze snobizmem kilkoma pseudodojrzałymi frazesami nie świadczyłoby zbyt korzystnie o osobie, która tak się broni i musiałem szukać innej drogi — ale jakiej? Nie wiem, doprawdy, czy nie będzie nadużyciem z mojej strony jeśli znów otworzę księgę wspomnień moich... Tak, tak. Nie mogłem naturalnie pozwolić aby Rotszyldowie lub Faucigny Lucinge... aby stara księżna Franciszkowa lub Eddy Montague Stuart zapanowali nade mną — musiałem się bronić, o tak, jeżeli chciałem znaczyć cokolwiek w kulturze musiałem rozstrzaskać na mym niebie hrabski i książęcy zodiak! Ale jak? Na te choroby znam tylko jedno lekarstwo: jawność. Choroby sekretne leczą się tylko ujawnieniem. Nie to męczyło, gdybym spotkał na fajfach starą Franciszkową, że ona mnie dominowała

bezkresnym i, zda się, nieomal wyuzdanym wyrafinowaniem kończyn, ale że ja wstydziłem się do tego przyznać — i ta to dyskrecja była mi klęską! W dniu, w którym odważyłem się głośno obwieścić moją słabość, pękł łańcuch przykuwający mnie do tej pęciny. Pamiętam jak dziś, stało się to przed laty w Sztokholmie, gdziem przypadkowo spotkał księcia Gaetano, który z siostrą swoją Pauliną de Anticol-Corrado, markizą Pescopagano, mieszkał u Oppedheimherra. Tak, tam po raz pierwszym ustaliłem swoją metodę podejścia do arystokracji.

Łączyła księcia z nieboszczykiem ojcem moim dość bliska zażyłość a nawet, być może, subtelna nić dalekiego pokrewieństwa; więc, dowiedziawszy się kim jeste,m prosił, abym co dzień po obiedzie zachodził do nich na kawę. Ale już wspomniałem, że nie mam w

sobie nic z bywalca salonowego, a czułość moja na arystokrację w tym jedynie przejawia się, iż mnie doskwiera jej wyższość. Te więc wizyty u księcia Kajetana niezbyt mi były na rękę, a nawet wkrótce stały się trudnym do zniesienia ciężarem. — albowiem przewijał się tam najbłyskotliwszy krem *haute société* i rodził się *genre*, który mnie unicestwiał. Nie byłem bezprzecznie, dość wprowadzony w podniebną strefę *durchlaucht* ani dość biegły w koligacjach rodzin panujących, ani dość *au courant* plotek, komeraży, będących żerem tego wykwintu, wykwint ten określających. O, z jakąż rozkoszą byłbym wyznał moją podrzędność i skurcz gardła mego, aby rzecz postawić na ostrzu noża i w świetle białego dnia! Ale te hierarchie opierają się na tym, że są niewyznane, świat wyższy dlatego właśnie posiada moc impono-

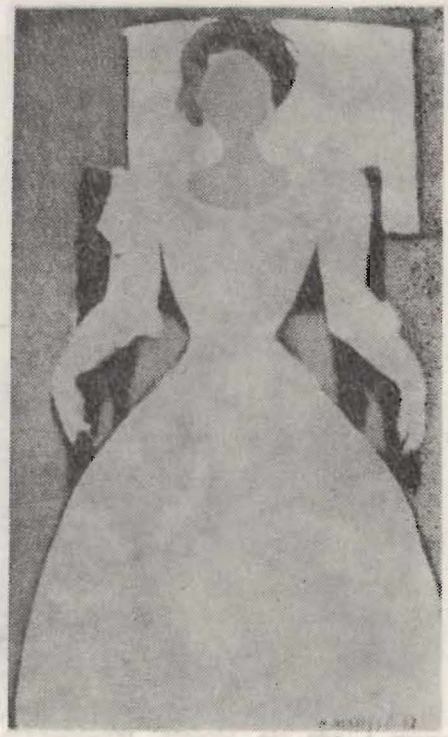

wania iż wszyscy zachowują się tak, jak gdyby wcale nie chodziło o imponowanie, jakby imponowanie ciągłe, nieustanne nie było jego najesencjonalniejszą treścią. Świat wyższy nie pozwala uchwycić się w swoim właściwym sensie i to sprawia że jest niezwalczony. I książę, a wraz z nim cała jego czereda, traktowali mnie jak gdyby nie było wiadomo, że mnie zaszczycają...

Tak — rozbić, zniszczyć salon dlatego jest niepodobieństwem, że salon natychmiast wyrzuca za drzwi wszystkich, którzy nie są salonowi. Musiałem przeto działać chytrze — i pierwsze zwycięstwo odniosłem gdy, spoglądając w lustro, zapytałem księcia czym dosyć dystyngowany *(croyez-vous que je suis assez distingué?)*.

Pytanie, które w pierwszej chwili poczytano za żart. Ja jednak powtórzyłem je i to tak, aby zrozumiano, że to jednak nie żart!

Wówczas nastąpił moment lekkiej paniki, gdy salon, właśnie dlatego, że dystynkcja jest jego naczelnym zadaniem, udaje, że nic o tym nie wie, przyjmuje że dystynkcja jest czymś wrodzonym wszystkim bywalcom jego!

Wtedy jednak powtórzyłem jeszcze raz moje pytanie; ale tym razem żartobliwie, jakbym się zabawiał. Po czym zapytałem: — *Pourrais-je un jour être*

aussi imposant et aussi distingué que vous, prince, et vous, madame? Voilà mon rêve! (Czy kiedyś zdołam być równie dystyngowany, jak państwo — oto moje marzenie!).

Pytanie bardziej jeszcze drastyczne niż poprzednie i bez kwestii, było to chodzenie po linie — pytanie to, postawione poważnie, byłoby nieprzyzwoitością, lecz, jako żart, stałoby się jeszcze karygodniejszym nietaktem, bliskim bezczelności. Musiało być wypowiedziane w ten sposób aby stało się jasne, iż ja rzeczywiście uznaję ich książęcość (tutaj hołd im odda-

Witold Gombrowicz

IWONA, KSIĘŻNICZKA BURGUNDA

OBSADA:

IWONA	Zofia Walkiewicz
KRÓL IGNACY	Jerzy Łapiński
KRÓLOWA MAŁGORZATA	Bogusława Czosnowska
KSIĄŻĘ FILIP	Adam Kazimierz Trela
SZAMBELAN	Henryk Sakowicz
IZA, dama dworu	Alina Lipnicka
CYRYL, przyjaciel Księcia	Andrzej Blumenfeld
CYPRIAN	Andrzej Szaciłło
CIOTKI Iwony	Teresa Iżewska
	Krystyna Łubieńska
INOCENTY	Florian Staniewski
WALENTY, lokaj	Edward Ożana
KANCLERZ	Lech Grzmociński
MARSZAŁEK	Andrzej Richter
WIELKI SĘDZIA	Ryszard Jaśniewicz
ŻEBRAK	Zbigniew Grochal
PAN I	Jerzy Dąbkowski
PAN II	Wojciech Kaczanowski
DAMY DWORU:	Elżbieta Goetel
	Halina Kosznik-Makuszewska
	Zofia Mayr
	Ewa Szczecińska

Reżyseria — **RYSZARD MAJOR**

Scenografia — **JAN BANUCHA**

Asystent reżysera — **Henryk Sakowicz**

Muzyka — **ANDRZEJ GŁOWIŃSKI**

Inspicjent — **Lidia Kacprzak**

Sufler — **Maria Załuga**

Aktualna obsada na tablicy w hallu.

wałem), ale jednocześnie musiało zawierać odciążający element uciechy i rozbawienia — że niby ja bawię się tą sytuacją, to znaczy, bawię się nimi i sobą.

Do tego zmierzałem. Tak, bawić się nimi — to była meta sekretna mego przedsięwzięcia, oznaczająca triumf ostateczny i nieodwołalny! Lecz bawić się nimi było mi wolno tylko pod warunkiem, że potrafię bawić się sobą, to jest moją wobec nich nieśmiałością, moją niezręcznością — jedynie taka obosieczna zabawa mogła zapewnić im i mnie dystans wobec tej

gminnej, ba, ordynarnej prawdy, którą ujawniłem. Kajetan zrozumiał. Uchwycił zarówno moją szczerość i moją zabawę. A zabawa moja spodobała mu się dlatego właśnie, że wprowadzała w krwawy i okrutny a jakże zamaskowany sens arystokracji — więc powoli dał się wciągnąć w gierkę, która polegała z mojej strony na coraz jaskrawszym akcentowaniu różnic między nami — i w ten sposób niepostrzeżenie zdołałem wyzuć tych arystokratów z wszystkich masek, rozebrać ich niejako do goła, sprawić, że Arystokracja już przestała się kryć ze swą prawdziwą istotą. Po pewnym czasie już jawnie pozwalano mi na to abym się nimi delektował i Gaetano bez żenady wtajemniczał mnie w swoje drzewo, po to tylko aby mi zaimponować — lub, podnosząc nogawkę, pozwalał by mnie unicestwiała uszlachetniona, jak wino, pęcina. Ja zaś delektowałem się, ubawiony, że się delektuję...

Rzecz jasna, był to jedynie epizod... wyzwalający błysk stylu na niebie mętnym i niewydarzonym. Wkrótce wyjechałem ze Sztokholmu i rozbełtane żysię z książęciem, książęcość, niepomna naszych zabaw, znów była hermetyczna jak butelka starego koniaku. Wszelako od Sztokholmu datuje się sekretna praca du-

cha mego, zmierzająca do oswojenia tygrysa arystokracji. Od tej chwili począł się wyrabiać we mnie ten sposób bycia, polegający na wyzwoleniu poprzez ujawnienie. Odtąd wchodziłem w półświatek hrabski nie bez lubieżności — i brałem udział w ich nabożeństwie, oddając cześć należną, wypełniając ceremoniał, celebrując święty obrządek — aż słupiała i do rozpuku gorszyła się demokratyczna mądrość na widok intelektualisty przemienionego w fircyka. Ale cóż wy wiecie o triumfie, który pozwala rozkoszować się

własną niedojrzałością i jest jednocześnie jej wyswobodzeniem i przezwyciężeniem? A także — czy znana jest wam boskość przeciwstawiania istotnym i brutalnym wartościom życia (jak zdrowie, rozum, charakter) tych wartości fikcyjnych, hrabiowskich, wyssanych z niedojrzałego palca, których jedyne znaczenie polega na tym, że stanowią czystą grę hierarchii i wartościowania? Czy wiecie, zresztą, co to — upierać się przy własnej rzeczywistości, takiej jaka ona jest wbrew wszystkim protestom rozumu? Czy znacie szał rozkoszowania się absurdem? Ha, jeśli klękam przed książętami, to nie po to, aby im się poddać...

„Klęknij, Ryszardzie, by czymś wyższym zostać

Wstań, sir Ryszardzie i Plantagenecie.."

Klękając przed książętami, ja, Plantagenet, cieszę się nimi i sobą i światem — nie oni moim są książętami, ja jestem księciem tych książąt!

(Po co to napisałem?

Mnie idzie o metodę.

Zwróćcie uwagę na moją metodę i spróbujcie zastosować ją do rozładowania innych mitów).

Witold Gombrowicz

Osobom, interesującym się moją techniką pisarską, przekazuję następującą receptę.

Wejdź w sferę snu.

Po czym zacznij pisać pierwszą lepszą historię, jaka ci przyjdzie do głowy i napisz ze 20 stron. Potem przeczytaj.

Na tych 20 stronach znajdzie się może jedna scena, kilka pojedynczych zdań, jakaś metafora, które wydadzą ci się podniecające. Napisz więc wszystko jeszcze raz, starając się, aby te podniecające elementy stały się osnową — i pisz, nie licząc się z rzeczywistością, dążąc tylko do zaspokojenia potrzeb twojej wyobraźni.

Podczas tej powtórnej redakcji wyobraźnia twoja przyjmie już pewien kierunek — i dojdziesz do nowych skojarzeń, które wyraźniej określą termin działania. Wówczas napisz 20 stron dalszego ciągu, idąc wciąż po linii skojarzeń, szukając zawsze pierwiastka podniecającego — twórczego — tajemniczego — objawicielskiego. Potem napisz wszystko jeszcze raz. Tak postępując ani się spostrzeżesz, kiedy wytworzy ci się szereg scen kluczowych, metafor, symboli (jak w

Trans-Atlantyku „chodzenie", „pusty pistolet", „ogier" lub w *Ferdykurke* „części ciała") i uzyskasz szyfr właściwy. I wszystko zacznie ci się pod palcami zaokrąglać mocą własnej swojej logiki, sceny, postacie, pojęcia, obrazy żażądają swego dopełnienia i to, co już stworzyłeś, podyktuje ci resztę.

Jednakże cała rzecz w tym, abyś, poddając się w ten sposób biernie dziełu, pozwalając aby stwarzało się samo, nie przestał ani na chwilę nad nim panować. Zasada twoja w tym względzie ma być następująca: nie wiem dokąd dzieło mnie zaprowadzi, ale

gdziekolwiek by mnie zaprowadziło, musi wyrażać mnie i mnie zaspakajać. Zaczynając *Trans-Atlantyk* nie miałem pojęcia o tym, że on doprowadzi mnie do Polski, gdy jednak to się stało, postarałem się, aby nie kłamać — aby kłamać jak najmniej — i aby wyzyskać tę okazję dla wyładowania się i wyżycia... I wszystkie problemy, które nasuwa ci takie samorodne i na oślep stwarzające się dzieło, problemy etyczne, stylu, formy, intelektu, muszą być rozwiązywane z pełnym udziałem twojej najostrzejszej świadomości oraz z maksymalnym realizmem (gdyż wszystko to jest grą kompensacji: im bardziej jesteś

szalony, fantastyczny, intuicyjny, nieobliczalny, tym bardziej musisz być trzeźwy, opanowany, odpowiedzialny).

W rezultacie: pomiędzy tobą a dziełem powstaje walka, tak jak pomiędzy woźnicą a końmi, które go ponoszą. Nie mogę opanować koni, lecz muszę dbać abym się na żadnym zakręcie tej jazdy nie wywrócił. Dokąd zajadę — nie wiem, lecz muszę zajechać cało. Więcej — muszę przy sposobności wydobyć całą rozkosz z tej jazdy.

I w ostatecznym rezultacie: z walki pomiędzy wewnętrzną logiką dzieła, a moją osobą (gdyż nie wiadomo czy dzieło jest tylko pretekstem, abym ja się wypowiedział, czy też ja jestem pretekstem dla dzieła), z tego zmagania rodzi się coś trzeciego, coś pośredniego, coś jakby nie przeze mnie napisanego, a jednak mojego — nie będącego ani czystą formą, ani bezpośrednią moją wypowiedzią, lecz deformacją zrodzoną w sferze „między": między mną a światem. Ten twór dziwny, tego bastarda, wsadzam w kopertę i posyłam wydawcy.

Po czym czytacie w prasie: „Gombrowicz napisał *Trans-Atlantyk* aby dowieść!", „Tezą dramatu *Ślub* jest...", „W Ferdydurke Gombrowicz chce powiedzieć..."

Witold Gombrowicz

Tragikomiczną historię Iwony ująć można w paru słowach. Książę Filip, następca tronu, spotyka na spacerze to dziewczę niepociągające... odpychające... Iwona jest rozlazła, apatyczna, słabowita, nieśmiała nudna i trwożliwa. Książę od pierwszej chwili nie może jej znieść, zanadto go denerwuje; ale zarazem nie może znieść tego, że musi nienawidzieć nieszczęśliwej Iwony. I wybucha w nim bunt przeciw prawu natury, które młodzieńcom nakazuje kochać tylko powabne dziewczęta. — Nie poddam się temu, będę ją kochał! — rzuca wyzwanie swej naturze i zaręcza się z Iwoną.

Iwona, wprowadzona na dwóch królewski, jako narzeczona księcia, staje się czynnikiem rozkładowym. Obecność niema, zastraszona, jej rozlicznych defektów sprawia, iż każdemu przychodzą na myśl własne jego tajone braki, brudy, grzeszki... i wkrótce dwór zamienia się w wylęgarnię potworności. I każdy z tych potworów, nie wyłączając księcia, poczyna dyszeć żądzą zamordowania nieznośnej Cimcirymci. Dwór mobilizuje w końcu wszystkie swoje blaski, wszystkie wyższości i wspaniałości i „z wysoka" ją zabija.

Oto historia Iwony... czyż aż tak trudna do zrozumienia? Ale skłonny jestem przypuścić, że mam jakiegoś pecha, dzięki któremu to, co najprostsze, najwyraźniejsze, w moich utworach jest odbierane w sposób najbardziej fantastyczny i dzisiaj jeszcze zdarza mi się czytać recenzje z *Iwony* w których mowa że to satyra polityczna na reżym komunistyczny w Polsce, że Iwona jest Polską, czy też wolnością, lub że to „satyra na monarchię". Uff! Mniejsza z tym, co innego wydaje mi się godne podkreślenia. Naprzód, że Iwona bardziej jest rodem z biologii, niż z socjologii. Po wtóre, że jest rodem z owego bezdroża mojego, gdzie mnie dopadła nieograniczona dowolność kształtu, ludzkiego kształtu, jego rozwiązłość, jego wyuzdanie. Ciągle więc to we mnie było... i ja byłem w tym...

Witold Gombrowicz

Fragmenty wypowiedzi W. Gombrowicza zaczerpnięto z książek:
W. Gombrowicz „Dziennik" (1953—1956) Paryż 1971
Dominique de Roux „Rozmowy z Gombrowiczem", Paryż 1969

Brygadier sceny:
Andrzej Bieńkowski

Światło:
Tomasz Gewartowski
Zdzisław Wett

Rekwizytor:
Halina Majer

Kierownik techniczny:
Stanisław Matysik

Główny elektryk:
Andrzej Ambroziński

Elektroakustyk:
Edmund Orent

Kierownicy pracowni krawieckiej:
Regina Darłak
Tomasz Szwajkowski

Kierownik pracowni stolarskiej:
Zygmunt Lubocki

Kierownik pracowni malarskiej:
Edmund Nowakowski

Kierownik pracowni tapicerskiej:
Czesław Okrój

Kierownik pracowni perukarskiej:
Danuta Taraszkiewicz

Kierownik pracowni szewskiej:
Jerzy Kilanowski

Kierownik pracowni mechaniczno-ślusarskiej:
Antoni Kosiba

Kierownik pracowni modelatorskiej:
Marian Kujawski

Główny rekwizytor:
Stefania Kujawska

Kierownicy administracyjni scen:
Stanisława Staszak (Gdańsk)
Halina Zemło (Sopot)

ZGGdy-178. 3000. — N-2.

ZE ZBIORÓW
Działu Dokumentacji ZG ZASP

Egz. bezpłatny

Cena zł 5.—